

Kielanowski, Tadeusz

Wspomnienia z pierwszych lat budowy Uniwersytetu Marii Skłodowskiej-Curie

Kwartalnik Historii Nauki i Techniki 27/3-4, 599-620

1982

Artykuł umieszczony jest w kolekcji cyfrowej Bazhum, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych tworzonej przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego.

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie ze środków specjalnych MNiSW dzięki Wydziałowi Historycznemu Uniwersytetu Warszawskiego.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.



Tadeusz Kielanowski

(Gdańsk)

WSPOMNIENIA Z PIERWSZYCH LAT BUDOWY UNIwersytetu MARIi CURIE-SKŁODOWSKIEJ

Lublin był w międzywojennym dwudziestoleciu miastem, które turyści zwiedzali w ciągu jednego dnia lub jednej doby. Mimo swoich naprawdę pięknych kościołów i autentyzmu dzielnicy staromiejskiej, nie umiał przyciągać turystów i ja także zwiedzając samochodem cały kraj, byłem w Lublinie tylko raz, parę godzin w 1935 roku.

Dnia 2 października 1944 roku, późnym wieczorem, przyjechałem do Lublina po raz drugi, ale już nie jako turysta. Zmobilizowany we Lwowie 27 września, zgłosiłem się wraz z dwoma towarzyszami podróży we właściwym biurze wojskowym. Otrzymaliśmy kwaterę i nocleg w jakiejś prymitywnej kamienicy przy placu Bychawskim na III piętrze. Dając klucze, okazał nam opiekun czy gospodarz tego domu wyraźną niechęć; kiedy zaś, ku naszemu zdumieniu okazało się, że na III piętrze nie ma instalacji wodociągowej i zszedłem, prosząc o dzbanek wody do picia — krzyczał, odmówił i nie pozwolił swojemu dziecku, dziesięcioletniej może, zabiedzonej dziewczynce wyświadczyć nam „ani dziś, ani jutro, ani nigdy” jakiegokolwiek posługi. Byliśmy zbyt zmęczeni dwudniową podróżą otwartym samochodem półciężarowym, podróżą przez lasy między Lwowem a Przemyślem w kolumnie zbrojnej, bo napadały tam na samochody bandy UPO — by dyskutować, położyliśmy się w ubraniach na podłodze na słomie i spaliśmy doskonale.

Nazajutrz byłem już w mundurze, z przydziałem do Szkoły Podchorążych, w charakterze szefa sanitarnego, w samym Lublinie. Przydzielono mi kwaterę w czystym, przyzwoitym domu blisko Szkoły, złożyłem tam plecak i poszedłem do śródmieścia na koncert Stanisława Szpinalskiego. Byłem wzruszony, bo był to po okupacji pierwszy, normalny, prawdziwy recital znakomitego pianisty. Spotkałem wielu znajomych lwowian w cywilu i w mundurze, rozmawialiśmy długo, a potem udałem się w drogę do

kwatery zupełnie ciemnymi, długimi Alejami Raclawickimi. Kiedy przechodziłem koło parku, padł tuż koło mnie strzał z małokalibrowego pistoletu i usłyszałem kroki osoby uciekającej do parku. Potem była znów cisza i ańi żywej duszy. Około pół do jedenastej byłem przy drzwiach mieszkania, ale głos kobiecy nie wpuścił mnie. Głos mówił, że mnie nie poznaje, w nocy nikogo nie wpuści i właściwie nie ma się czemu dziwić, tylko, że znowu mi było przykro. Przenocowałem w koszarach na łóżku porucznika Władysława Sławnego, który spał na ziemi. Nie wiem czy przeżył wojnę — ale dziękuję mu, bo był to pierwszy życzliwy gest odkąd byłem w Lublinie.

Dano mi nową kwaterę, narożny, jasny pokój na pierwszym piętrze willi i tam miałem mieszkać aż do jesieni 1945 roku. W pokoju był piec kaflowy, ale właściciele willi nie opalali mi kwatery, ani nie okazywali życzliwości; nasz wzajemny stosunek pozostał poprawny, ale chłodny lub zimny, dokładnie taki, jakim była temperatura w zimie w narożnym, nigdy nie opalanym pokoju. Kwaterę jednak zachowałem, kiedy mnie po kilku tygodniach przeniesiono do innej jednostki, do Frontowego Punktu Ewakuacyjnego nr 8, gdzie było ciekawie i gdzie praca była „wojenna”, ale nie o tym chcę tu pisać.

Chcę napisać jak widziałem i jak przeżywałem historyczne chwile, pierwsze miesiące i pierwsze lata powstawania nowego, polskiego uniwersytetu.

Sporo dokumentów powstania Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej zostało już opublikowanych, drukowano także wspomnienia, w tym mój opis pierwszego wykładu medycyny *), ale sądzę, że każdy szczegół widziany oczyma świadka, może posiadać wartość, jako że uniwersytety nie powstają przecież często.

O projektach, a później już planach kreowania w Lublinie uniwersytetu, a nawet o tym, że miały się nazywać uniwersytetem Marii Curie-Skłodowskiej (ani wtedy, ani dziś nie wiem dlaczego nie Skłodowskiej-Curie), wiedziałem już we Lwowie. Pisała o tym jedna z ostatnich gazetek podziemnych, przestrzegając pracowników lwowskiego uniwersytetu, żeby w tej rzekomo ze wszech miar niepoważnej imprezie nie brali przypadkiem udziału.

W pierwszych dziesięciu dniach października byłem tak zajęty obowiązkami wojskowymi, a właściwie wojennymi, bo z rozkazu niejedyn raz byłem na terenach pod obstrzałem, a wśród podchorążych miałem wielu rannych i rekonwalescentów, że o uniwersytecie słyszałem niewiele. Ale około połowy października przyszedł do mnie od lat nie widziany, bliski mi kolega ze studiów dr med. Edward Grzegorzewski, pełniący jakieś funkcje w resorcie oświaty Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego, czyli „Pekawuenu”. Przyszedł nie tylko z przyjacielską wizytą, ale z formalną propozycją mojego przystąpienia do prac organizacyjnych wydziału lekarskiego Uniwersytetu. Dekret o kreowaniu uniwersytetu, był już, jak powiedział, przygotowany.

*) W książce pt.: *Dziesięć lat Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie*, na stronach 30—32. Wyd. Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej. Lublin 1954.

Rozmawialiśmy wiele godzin i nie ulegało wątpliwości, że decyzja mogła być tylko jedna, pozytywna. Nikt nie żądał od podejmujących pracę żadnych deklaracji politycznych. Uniwersytet miał mieć charakter przyrodniczy, z wydziałem lekarskim jako najpotrzebniejszym, a więc uprzywilejowanym.

Dowiedziałem się, że w Lublinie, chwilowej stolicy Polski i siedzibie władz politycznych i wojskowych, znaleźli się wysoko kwalifikowani interniści, chirurdzy, bakteriolog, medyk sądowy, pediatra, okulista, oraz zaawansowani specjaliści innych dziedzin, których habilitacji zapobiegła wojna. Jednego, ale nieodzownego specjalisty, bez którego nie można było uruchomić roku trzeciego i lat klinicznych, na wyzwolonym skrawku polskiej ziemi — brakowało. Brakowało anatomo-patologa, a ja nim właśnie byłem kiedyś przez pełnych sześć lat. Innymi słowy byłem potrzebny, nieodzowny. Nie mogłem się wahać, nie mogłem odmawiać. Zgodziłem się.

Nazajutrz w południe przedstawił mnie Grzegorzewski profesorowi Ludwikowi Hirszfelowi, prorektorowi mającego powstać uniwersytetu. Hirszfeld — wielkie nazwisko i człowiek adorowany przez uczniów, współodkrywca grup krwi i odkrywca praw ich dziedziczenia, autor świetnych prac o „współpracy w przyrodzie”, a nie „wojnie wszystkich przeciw wszystkim”, prac zbliżonych do ducha kropotkinowskiego. Mówi się o miłości od pierwszego wejrzenia, ale nie o przyjaźni od razu prawdziwej i trwałej, a więc przyjaźni od pierwszego wejrzenia, a coś było w „wielkim Ludwiku”, albo „Ludwiczku zejźdź na ziemię”, jak o nim mówiła żona, pani Hanna, że garnęli się do niego ludzie. Był dostojny, ale bardzo bezpośredni i łatwy w obejściu, zamyślony i w chmurach, ale słuchający uważnie rozmówcy, rozważający treść tego, co się do niego mówiło w sposób zawsze życzliwy. Był pełny pomysłów, koncepcji naukowych, oryginalnych skojarzeń, których nie krył dla siebie, ale które rozdawał wszystkim, którzy chcieli myśleć i pracować. Nasza przyjaźń miała trwać wiele lat, do śmierci profesora.

Drugą wizytę złożyłem rektorowi-organizatorowi uniwersytetu, profesorowi Henrykowi Raabe. Niewysokiego wzrostu, z małą, niemodną spiczastą bródką, miał wtedy lat 62 i na tyle wyglądał. Człowiek bystry, szybki w działaniu i decyzji, ale jak się miałem później przekonać, niechętnie raz powzięte decyzje zmieniający. Był zdziwiony, że mi zlecono wykłady z anatomii patologicznej, bo, mówił, mamy już przecież anatoma, dra Stelmasiaka, po co to tak rozdrabniać, jest przecież wojna. Byłem zaskoczony, dziwiłem się; czyżby Raabe nie znał różnicy między anatomią prawidłową, opisową, a anatomią patologiczną? Podobne opory rektora miały później dotyczyć chemii ogólnej i chemii fizjologicznej. Rektora niepokoiła mnogość nieodzownych katedr i wysokie koszty wydziału, który potem nieraz nazywał „kukulczym jajem uniwersytetu”, zapominając jakby całkowicie o tym, że władzom cywilnym i wojskowym zależało głównie, a z początku tylko na stworzeniu warunków szybkiego szkolenia lekarzy i doszkalananiu przedwojennych, jeszcze nie dyplomowanych studentów medycyny.

Kilka dni później poznałem wszystkich lekarzy, mających tworzyć pierwszy

zespół nauczający, pierwszą Radę Wydziału. Okazją było zebranie, już nie pamiętam w jakiej sprawie, w dwuizbowym lokalu w gimnazjum im. Staszica, stanowiącym cały majątek wydziału. Tylko trzech profesorów znałem z lat przedwojennych z nazwiska.

Profesora Jakuba Węgierkę znałem z jego prac o cukrzycy. Okazał się człowiekiem uroczym i niebywale dowcipnym. Przypominał z sylwetki i sposobu bycia swojego brata Aleksandra, świetnego aktora, amanta, który niestety wojny nie przeżył. Węgierko i jego żona Stefania, okulistka, chronili się w czasie okupacji w Związku Radzieckim, byli krótko w armii Andersa, ale z przyczyn, których nigdy dokładnie nie poznałem, wrócili z Iranu do Związku Radzieckiego, a potem przybyli, krótko po wyzwoleniu Lublina, do Polski. Węgierko chorował często na ataki malarii, Węgierkowa na ciężką astmę oskrzelową, której ataki dawały się przerwać tylko zastrzykami adrenaliny, wcale nie obojętnymi dla zdrowia. Ich jedyne dziecko, dorosły syn, był więźniem Oświęcimia, żył jeszcze do momentu ewakuacji obozu, ale potem zginął; jesienią 1944 ludzili się jeszcze rodzice. Także Raabe ludził się wtedy, że jego syn Leszek, którego ślad po Powstaniu Warszawskim zaginął, odnajdzie się, natomiast Hirszfeldowie wiedzieli, że ich jedyne dziecko, córka, nie żyje, że zmarła po ciężkiej chorobie w innym ukryciu niż oni, pod opieką ludzi dobrych, ale obcych.

Wspominam o tych szczegółach, żeby pokazać kim byli ludzie, budujący w roku 1944 uniwersytet i Polskę. Byli ludźmi zmęczonymi wojną, okupacją, bolesnymi przejściami, ludźmi chorymi. Obok nich i pod ich kierownictwem stanęli do pracy ludzie młodszy i bardzo młodzi. Jedni i drudzy byli naprawdę pełni zapału i nikt, dosłownie nikt nie uważał, by go mógł obowiązywać zakaz pracy w uniwersytecie lubelskim, wydany przez władze Polski podziemnej, opozycyjne w stosunku do PKWN.

Człowiekiem ciężko chorym i seniorem grona mającego organizować wydział lekarski, był profesor dr Jan Henryk Lubieniecki, przed wojną profesor interny w Poznaniu. Miał lat 67, ale wyglądał znacznie starszej i był senilnie spowolniały. Jemu, właśnie ze względu na dostojny wiek, powierzono funkcję dziekana. Przedstawiłem mu się i odbyłem z nim długą rozmowę, z której dowiedziałem się, że wydział ma uruchomić od razu cztery lata studiów, pierwszy, drugi, czwarty i piąty, ale bez trzeciego, a studia mają trwać lat pięć, czyli o jeden trymestr krócej niż przed wojną. Na pierwszy rok ma się odbyć normalna rekrutacja maturzystów, a na wyższe lata mają być przyjmowani studenci, którzy ukończyli przed wojną, albo na tajnych kursach uniwersyteckich w czasie okupacji w kraju, ewentualnie w Związku Radzieckim, odpowiednią część studiów. Rozkazem Naczelnego Dowódcy odwołuje się już z frontu żołnierzy, mających kwalifikacje do studiów na latach wyższych, szczególnie absolwentów, którym brak niewielu egzaminów do dyplomu. Studenci już przybywają, nie przestają być żołnierzami i koszarowani są w pustych salach Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego (KUL-u). Opiekuje się nimi pułkownik-lekarz dr Kornel Mikulewicz

i lekarz radziecki Dołgopiatow, pułkownik Wojska Polskiego, którego matka była podobno Polką; Dołgopiatow po polsku rozumie, ale mówić nie umie.

Dziekan Lubieniecki zwierzał mi się już w pierwszej rozmowie z trudności kwalifikowania studentów na poszczególne lata studiów, bo prawie nikt nie posiadał pełnej dokumentacji odbytej i zaliczonej części studiów. Dziekan martwił się możliwością skrzywdzenia kogoś bardziej niż tym, że ktoś inny mógłby na odwrót, na podstawie sfałszowanych dokumentów lub zeznań świadków zostać dopuszczony niezasłużenie na wyższy rok studiów. Lubieniecki gubił się w papierach i odraczał decyzje, a przez to odraczał rozpoczęcie zajęć akademickich. Inne wydziały uniwersytetu pracowały już w listopadzie, a studenci skoszarowani, odwołani z frontu — próżnowali. Denerwował się słusznie Rabbe, martwiliśmy się wszyscy, ale nie traciliśmy czasu. Na odwrót, przygotowywaliśmy pilnie swoje warsztaty pracy.

Były to zadania niewiarygodnie trudne. Lublin, wówczas stolica Polski, największe miasto wyzwolonego skrawka kraju, był miastem małym, w okresie międzywojennym słabo rozwiniętym, prowincjonalnym w niejednym znaczeniu tego słowa, a na domiar złego w tym czasie ogromnie zatłoczonym. Nawet na ulicach było tłoczno. Wiele obiektów zajmowały władze Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego (Bolesław Bierut mieszkał w przechodnim pokoju), wiele innych wojsko. Uniwersytetowi przydzielono dwa budynki szkolne, gimnazja (licea) im. Zamoyskiego i Staszica. W pierwszym tworzył młody lekarz Mieczysław Stelmasiak, dyplomowany rok przed wojną, były asystent poznańskiego Zakładu Anatomii, z podziwu godnym zapalem katedrę i pro-sektorium anatomii prawidłowej człowieka, a drugi mieścił wszystkie biura i wiele zakładów naukowych uniwersytetu, w tym rektorat i dziekanaty. Rojno tam było do późnego wieczora i tam też powstała staraniem Raabego stołówka. Prawo korzystania z niej nie przysługiwało niestety wojskowym, bo mieli się żywić w swoich jednostkach; decyzja była słuszna, ale w pewnym okresie dla mnie kłopotliwa, bo przysługująca mi kuchnia wojskowa znajdowała się trzy kilometry za miastem, a pracując w wojsku i uniwersytecie mogłem najwyżej raz dziennie tam docierać. Przez wiele miesięcy byłem stale głodny.

Codziennie w południe spotykaliśmy się wszyscy w pokoju służącym za dziekanat w Gimnazjum Staszica, by dzielić się troskami, pomysłami i planami. W listopadzie i grudniu nie mieliśmy jeszcze kompletu wykładowców; w nauczaniu przedmiotów klinicznych liczyliśmy na wielu lubelskich, starszych ordynatorów, ale trudniej było o nauczycieli przedmiotów podstawowych. Znalazł się szczęśliwie, przybyły ze Lwowa histolog, młody lekarz Stanisław Grzycki i podobnie jak Stelmasiak wziął się świetnie do pracy, ale fizjologa, dra Wiesława Hołobuta, człowieka z poważnym dorobkiem naukowym, musieliśmy ściągać z wojska, z obozu oddziału frontowego, stacjonowanego pod Kockiem. Chemii mieli nauczać profesorowie wydziału przyrodniczego, nauczania biochemii podjęła się dr nauk przyr. Janina Opieńska-Blaut, była asystentka wielkiego biochemika, profesora Jakuba Parnasa, przebywają-

cego w tym czasie poza granicami kraju. Biologii miał nauczać zoolog, dr Hieronim Jawłowski, znany szeroko w świecie specjalistów badacz robaków, zwanych wijami; imponowało nam, że jeden z ich gatunków nazwano nawet jego imieniem „Myriapodum javloscii”. Bakteriologię mieliśmy na światowym poziomie, bo miał ją prowadzić Ludwik Hirszfeld, przy pomocy dra Jerzego Morzyckiego, higienę zaś dr Edward Grzegorzewski. Na miejscu był habilitowany w Poznaniu chirurg docent Feliks Skubiszewski. Farmakologa nie znaleźliśmy niestety w ogóle, kiedy go wreszcie odkryliśmy (wiosną 1945) w osobie byłego asystenta i autora wielu prac, dra Juliana Papierkowskiego — pojawił się pierwszy konflikt wydziału z rektorem Raabe. Ktoś Raabemu szepnął, że Papierkowski był przed wojną antysemitą, jako że był uczniem i asystentem profesora Włodzimierza K. Nic nie pomogły zaprzeczenia kolegów dobrze Papierkowskiego znających i ceniących go jako farmakologa i człowieka, nie pomogły także interwencje profesora Węgiejki, Polaka pochodzenia żydowskiego — Raabe się uparł i straciliśmy znakomitego kandydata na kierownika Zakładu. Upór Raabego był niestety zapowiedzią późniejszych z nim konfliktów, farmakologię mieli zaś wykładać interniści i medyk sądowy, jako znawca toksykologii.

Klinikę dermatologiczną objął dr Czesław Ryll-Nardzewski z Wilna, świetny specjalista, doskonały nauczyciel, a człowiek aż nadmiernie skromny, neurologię zaś wykładał lekarz z Warszawy, dr Zygmunt Kuligowski.

Prócz nieformalnych spotkań południowych, zaczęliśmy się spotykać w sobotnie popołudnia na posiedzeniach Rady Wydziałowej, zatroskani ciągłym odraczaniem rozpoczęcia zajęć dydaktycznych. Taktownie, ale coraz usilniej nakłanialiśmy dziekana Lubienieckiego do powzięcia decyzji, przydzielania studentów na poszczególne lata studiów i rozpoczęcia zajęć, ale dziekan wciąż się wahał. Niezależnie od tego powzięliśmy zgodnie uchwałę stworzenia czegoś w rodzaju podwójnego roku, trzeciego i czwartego łącznie, dla tych kandydatów na studia, którzy mieli ukończony rok drugi. W zasadzie mieli oni wracać na front w charakterze felczerów. Było nam ich jednak żal i szkoda, tym bardziej, że kwalifikacji felczerskich nie mieli przecież żadnych, jako że ukończenie dwóch lat studiów nie daje żadnych kwalifikacji z dziedziny medycyny praktycznej. Absolwentów drugiego roku, przyjętych od razu na ten szczególny rok czwarty, było tylko kilku, ale studia ich miały przez to trwać i rzeczywiście trwały w sumie tylko lat cztery. Wyszło to na jaw w latach pięćdziesiątych przy okazji pedantycznie prowadzonej weryfikacji dyplomów. W wypadku dwóch osób musiałem to tłumaczyć i wyjaśniać Komisji Weryfikacyjnej, która przyjęła to ze zrozumieniem, tym zresztą łatwiej, że obaj zainteresowani byli już wtedy poznakomitej habilitacji.

Na posiedzeniach Rady Wydziału poznałem kilka osób, o których nie powinno się zapomnieć. Chodzi o dwóch generałów-lekarzy, obywateli radzieckich pochodzenia polskiego i trzech lekarzy praktyków z Lublina,

uproszonych o kierowanie klinikami, do czasu ich obsadzenia przez pracowników nauki.

Generał Zbigniew Szacki (nie jestem pewny imienia), profesor chirurgii Wojskowej Akademii Medycznej w Leningradzie, mówił znakomicie po polsku i miał bliskich krewnych w Polsce. Generał Witold Nowodworski prawie po polsku nie mówił, a był profesorem interny w tejże znakomitej Akademii i obaj prowadzili przez kilka tygodni zajęcia praktyczne dla naszych studentów w szpitalu wojskowym. Po ofensywie styczniowej poszli na zachód, w ślad za frontem.

Dr Aleksander Woškowski, ordynator oddziału położniczo-ginekologicznego w Lublinie, świetny praktyk, a równocześnie człowiek wielkiej zacności i skromności, objął chwilowo, ale miał ku powszechnemu zadowoleniu prowadzić klinikę, wykłady i ćwiczenia przez prawie cztery lata, wciąż prosząc o zwolnienie go. Laryngologię prowadził doskonały operator lekarz Józef Świtek, a pediatrię dr Witold Klepacki. Dość krótko wykładał psychiatrię lekarz Aleksander Ossendowski, tworząc zaczątki kliniki w podmiejskim majątku ziemskim. Po paru latach udało się z wielką trudnością obsadzić owe katedry lekarzami habilitowanymi, dlatego z trudnością, że po wyzwoleniu całego kraju, w tym takich miast jak Wrocław czy Gdańsk, nie był mały i jeszcze biedny Lublin dla nikogo zbyt atrakcyjny. Do sprawy tej powrócę.

Z miejscowych lekarzy, nie pracujących bezpośrednio w uniwersytecie, zapamiętałem dobrze trzy osoby miejscowe, udzielające wydziałowi i jego pracownikom, profesorom i asystentom, wydatnej pomocy. Byli to lekarz analityk dr Cyprian Chromiński, dyrektor Filii Państwowego Zakładu Higieny, fizjoterapeuta dr Julia Krajewska i radiolog dr Jan Adamczyk. Oni to pożyczali lub ofiarowywali nam podręczniki, cenione przez nas na wagę złota, bo większość z nas przybyła do Lublina różnymi drogami bez bagażu, nawet ręcznego. Ja sam tylko z plecakiem.

Lista lekarzy, głównie lwowskich, będących chwilowo w Lublinie i przeważnie w wojsku, lekarzy którzy nam pomagali przygodnie, ale krótko, byłaby długa, wspomnieć więc mogę tylko o dwóch. Pomagali, pracowali, nawet wykładali radiolog doc. Witold Grabowski i internista doc. Antoni Falkiewicz.

Pod koniec grudnia 1944 odbyliśmy posiedzenie Rady Wydziału, na życzenie przedstawiciela wojska, dra Kornela Mikulewicza. Oświadczył nam, że Departament Służby Zdrowia nie może już dalej tolerować beczynności skoszarowanych studentów medycyny i będzie musiał powołać ich ponownie na front, jeżeli się nie rozpoczną zajęcia akademickie. Powołano więc za zgodą dziekana kilkusobową komisję (jeżeli dobrze pamiętam składała się z mojej osoby, dr Hirszfildowej, dr Grzegorzewskiego i dr Grzyckiego) i zlecono jej przydzielenie kandydatów na studentów na poszczególne lata, co też uczyniliśmy w ciągu kilku godzin. Te same osoby pomagały odtąd dziekanowi Lubienieckiemu stale, a parę tygodni później, kiedy dziekan prawie

stale leżał w łóżku, zlecono mi stałe jego zastępowanie, z urzędowaniem w dziekanacie i przewodniczeniem Radzie Wydziału łącznie. Odwiedzałem dziekana od czasu do czasu w domu i wysoko ceniłem jego uwagi, zalecając ostrożność, rozagę, działanie zawsze po namyśle. Profesor Lubieniecki żył jeszcze kilkanaście miesięcy, ale zorganizować kliniki już nie zdołał.

W pierwszej dekadzie stycznia 1945 roku rozpoczęto zajęcia I, II, III-IV i V roku studiów. W chwili kiedy to piszę, nie żyje już niestety znaczna większość ówczesnych wykładowców i trudno opisać szczegółowo jak i gdzie wykładano, jak improwizowano pomoce naukowe. Korzystano z sal gimnazjum im. Staszica, sal KUL-u, ale klinicyści wykładali także w korytarzach szpitali, w świetlicach wojskowych szpitali ewakuacyjnych i — co w teorii mogłoby uchodzić za ideał, ale w praktyce jest z wielu przyczyn trudne do realizowania — przy łóżku chorego.

Szczególnie wiele kłopotu sprawiał rok III-IV, bo jednych trzeba było nauczyć wiele, a drugim wiele przypomnieć. Studenci pracowali cały dzień, a wykładowcy i asystenci jeszcze dłużej, bo do wykładów i ćwiczeń musieli się przygotować, a na to dnia nie starczało. Nie ja sam, zapewne, bywałem głodny. Codziennie wykładałem przez dwie godziny, od 7 rano do 9-tej anatomię patologiczną, a potem prowadziłem sam — kwalifikowanego asystenta nie było — ćwiczenia sekcyjne w baraczkach na podwórzu szpitala wojskowego albo ćwiczenia z histopatologii w Zakładzie Histologii, który dysponował dwudziestu jakimś cudem zebranych mikroskopami, po części całkiem antycznymi. Do zajęć i wykładów przygotowywałem się w moim lodowatym pokoju, siedząc w płaszczu wojskowym i narzuconym nań płaszczu cywilnym, w czapce polowej i rękawiczkach.

Kiedy ulegały, jeden po drugim, likwidacji wojskowe szpitale ewakuacyjne, brakowało nam coraz bardziej łóżek klinicznych i zbyt wielu studentów badało jednego chorego, co nie jest przecież dopuszczalne w żadnych warunkach. Zastępując chorego dziekana starałem się więc szukać dostępu do wszystkich szpitali lubelskich. Szpitalem klinicznym był z początku tylko Szpital im. św. Wincentego à Paulo, zwany popularnie szpitalem Szarytek i położony przy tej samej ulicy Szpital Chorób Dziecięcych. Oba były nieduże, stare, bardzo skromne i ciasne. Szpital Szarytek miał nowoczesne — jak na owe czasy — diagnostyczne i terapeutyczne aparaty rentgenowskie, ale nie miał ani laboratorium analitycznego, ani prosektorium, a bez tych uzupełnień kliniki pracować nie mogą. Bardzo nad tym ubolewał głównie profesor Węgieńko i jak Robinson Kruzoe montował coś w rodzaju pracowni, mogącej badać mocz i tylko morfologicznie krew. Gorzej było z sekcjami zwłok, bo nie robiono ich (poza sądowymi) przed wojną w ogóle i dochodziło teraz do fizycznych niemal starć z zakonnicami, pełniącymi funkcje pielęgniarek, kiedy asystenci żądali sekcji zmarłych dzieci. Pamiętam asystentkę dr Irenę Moszkowską, która przybyła ze skargą do dziekanatu, podrapana na twarzy i rękach po walce o prawo do sekcji.

Nęcił nas Szpital im. Jana Bożego przy ul. Bonifratrów. Jego dyrektorem

był jednak człowiek, którym mnie przyjaciele lubelscy straszili, bo był bardzo stary i uważał podobno szpital za swoją własność; opowiadano że chodził z kijem i potrafił nawet intruzów bić. Nazywał się Mieczysław Biernacki i urodzony w roku 1862, miał 82 lata! Powiedziano mi, że kiedy w czasie okupacji obliczono, że wybiło pięćdziesięciolecie jego dyrektury (jubileusz zaiste niezwykły!), przysłała mu złożyć gratulacje delegacja niemieckich władz sanitarnych w mundurach. Biernacki wyrzucił ją za drzwi, krzycząc że od okupantów żadnych życzeń przyjmować nie ma zamiaru. Ale o dziwo — ograniczyli się Niemcy do usunięcia go ze stanowiska i dyrektor osiadł pod Lublinem w swoim majątku, skąd też po wyzwoleniu sprowadziła go do Lublina cała procesja pacjentów i przyjaciół, licząca podobno grubo ponad stu ludzi.

Biernacki mieszkał w szpitalu w jednym dużym pokoju i tam zameldowałem się, zapowiedziany dzień wcześniej, według wszelkich zasad cywilnego i wojskowego dobrego wychowania. Zanim usiadłem, zobaczyłem otwarte pianino, a na nim nuty rzadko grywanej, a mojej ulubionej sonaty Beethovena, zwanej pożegnalną, albo „Les adieux”. Rozpoczęła się ożywiona rozmowa najpierw o poszczególnych częściach tej oryginalnej, programowej sonaty (pożegnanie, nieobecność, powitanie), a potem o muzyce w ogóle, bo obaj byliśmy właściwie muzykami, którzy przypadkowo studiowali medycynę. Dr Biernacki zaimponował mi jednak nie tylko muzykalnością, ale wszechstronną wiedzą i wbrew legendom okazał się gorącym zwolennikiem powstania państwowego uniwersytetu i jego wydziału lekarskiego w Lublinie. Opowiedział mi szczegółowo „prehistorię” decyzji kreowania uniwersytetu, którą znał doskonale, bo wspólnie z drem Klepackim, pierwszym powojennym prezesem Izby Lekarskiej, był przez PKWN konsultowany w tej sprawie. Opowiadał że pierwotnie miała powstać tylko Akademia Medycyny, coś w rodzaju instytutu czy instytucji, umożliwiającej szybkie kończenie studiów przez żołnierzy, mających studia zaczęte przed wojną i kilka lat praktyki w czasie okupacji, potem Akademia Medyczna z dodatkowym wydziałem przyrodniczym, wreszcie czterowydziałowy uniwersytet im. Mikołaja Kopernika, a ostatecznie, na wniosek Adama Ostrowskiego, posła do Krajowej Rady Narodowej, im. Marii Skłodowskiej-Curie. Głównymi zwolennikami powstania uniwersytetu byli Edward Osóbka-Morawski, dr Stanisław Skrzyszewski i, jak wiadomo, Henryk Raabe.

Na terenie Szpitala Jana Bożego miały powstać, jak uzgodniliśmy, trzy kliniki: interny, chirurgii z urologią i ftyzjatrii. Chirurgię objął i prowadził do końca życia świetny chirurg i wyjątkowo uzdolniony nauczyciel, dr, potem profesor habilitowany Tadeusz Jacyna-Onyszkiewicz.

Wszelkie sprawy uniwersyteckie koncentrowały się w gabinecie Raabego, a nie było problemu ze spotkaniem go, bo osiągalny był od wczesnego południa, do późnej nocy; obiadł jadł w stołówce, a po obiedzie drzemał nie więcej niż dziesięć minut siedząc przy biurku. Tylko wczesne godziny poranne spędzał w najrozmaitszych biurach wojskowych i cywilnych, gdzie starał

się, zwykle skutecznie, o pieniądze, papier, żywność, materiały na ubrania pracowników i o decyzje władz, potrzebne uniwersytetowi. Miał w roku 1944 tylko sześćdziesiąt dwa lata, ale cierpiał na chorobę wieńcową serca, którą lekcewał, ale która miała go zabić już w 1951 roku. Pracą ponad siły, entuzjazmem tworzenia uniwersytetu i wiarą w jego rozwój, którego jednak nie miał doczekać, zabijał rozpacz po stracie ukochanego syna Leszka, który zginął w czasie Powstania Warszawskiego i niepokój o syna Zdzisława, ciężko chorego po wyjściu z obozu jeńców (oflagu). Miałem dla Raabego szacunek, podziw i uczucia przyjazne i żałowałem bardzo, że dochodziło między nami do konfliktów.

Drobne nieporozumienia zdarzały się już późną wiosną i w lecie 1945 roku, kiedy pełniłem zastępczo funkcje dziekana i kiedy musiałem raz po raz prosić o pieniądze na pokrycie potrzeb klinik i zakładów, głównie zakładów chemii. Są to zawsze potrzeby ogromne w stosunku do potrzeb wielu katedr innych wydziałów i dlatego Raabe irytował się i denerwował. Na posiedzeniach Senatu popierał mnie właściwie tylko profesor fizyki teoretycznej, prof. Jan Błaton, bo inni wysuwali swoje potrzeby. Kiedyś interwenjowałem w Ministerstwie Zdrowia i udało mi się tam uzyskać zrozumienie i stałą dotację miesięczną „na potrzeby klinik”. Niestety w piśmie ministerstwa do rektora nie napisano wyraźnie, że chodzi o potrzeby klinik wydziału lekarskiego, bo tylko one i ich los mogą to ministerstwo interesować, ale Raabe zdecydował na wniosek dziekana wydziału weterynaryjnego, że kwotę będzie się dzielić równo na wszystkie kliniki, a więc i kliniki weterynaryjne. Była to dla mnie i dla wydziału lekarskiego porażka dotkliwa i po raz już nie pierwszy myślałem o wydzieleniu wydziałów lekarskich z uniwersytetu.

Pod koniec pierwszego roku mojej kadencji dziekańskiej, a może w początkach drugiego roku i drugiej kadencji, a więc w jesieni 1947 roku, doszło do znacznie ostrzejszego konfliktu. Wydziały lekarskie są nie tylko uczelniami akademickimi, nauczającymi myślenia i poszukiwania prawdy, ale również szkołami zawodowymi, których dyplomy dają absolwentom prawo decydowania o życiu ludzkim. Nie wolno więc tolerować niewiedzy studentów i absolwentów, bo nieuctwo lekarza grozi bezpośrednio ludzkiemu życiu. Warunkiem przechodzenia studentów z roku na rok, a już szczególnie przejścia na rok trzeci, rok kliniczny, z prawem dostępu do łóżka chorego, jest więc zdanie w terminie wszystkich obowiązujących egzaminów. Tak jest u nas i na całym świecie, nie mogło być inaczej w Lublinie, toteż kilku studentom groziło powtarzanie roku. Kilku jednak spośród zagrożonych (w tym jeden noszący w klapie marynarki na co dzień miniaturkę orderu Krzyża Walecznych...) interweniowało u Raabego, a Raabe zażądał uczynienia dla nich wyjątku, bo, jak twierdził, pomagali mu w pracy społecznej. Tłumaczyłem, że nie mogę się na to zgodzić, bo musiałbym odtąd czynić to coraz częściej, ale Raabe odwołał się do Rady Wydziału i przyszedł

na posiedzenie, argumentując. Kiedy w głosowaniu jawnym Rada poparła jednomyślnie moje decyzje, Raabe obraził się i wyszedł, trzaskając drzwiami.

Wczesną jesienią 1945 roku powstała w Gdańsku Akademia Medyczna, uczelnia samodzielna, niezależna od uniwersytetu, a władze jej zaproponowały mi objęcie w niej katedry patologii ogólnej i kliniki ftyzjatrycznej; ponieważ zaś byłem jeszcze w wojsku, obiecały czynić starania o przeniesienie mnie do marynarki wojennej. Nieważne dziś jakie okoliczności stanęły tym planom na przeszkodzie, ważne że chcąc opuścić Lublin, nie przyjąłem przedłużenia mi funkcji akademickich i nie zgodziłem się na kandydowanie na dziekana; zostałem prodziekanem. Nie musiałem już wykładać anatomii patologicznej, bo z Wilna przybył anatomo-patolog z prawdziwego zdarzenia, profesor Stanisław Mahrburg. Wykładałem odtąd tylko patologię ogólną i ftyzjatrię.

Zaczął się wtedy dla uniwersytetu i może głównie dla Wydziału Lekarskiego bardzo ciężki okres, bo kto mógł, odchodził do miast i uczelni atrakcyjniejszych, oferujących bogatsze, a czasem nawet gotowe warsztaty pracy i mieszkania, w tym wille z ogrodami. Wydawało się, że malutki i ubogi Lublin nie utrzyma wydziału lekarskiego, a może i uniwersytetu, że inicjatywa była zbyt śmiała.

Profesorowie E. Grzegorzewski, J. Morzycki i okulista I. Abramowicz, przenieśli się do Gdańska, Ludwik i Hanna Hirszfeldowie do Wrocławia i tamże za nimi W. Grabowski i A. Falkiewicz, wreszcie Z. Skibiński. Neurolog Zygmunt Kuligowski został powołany na stanowisko ambasadora w Kairze i wyjechał z kraju. Radiologię objął u nas świetny dr Czesław Murczyński, ale niebawem przeniósł się profesor Jakub Węgiérko do Szczecina i zabrał ze sobą Murczyńskiego. Wszyscy wymienieni to wysoko kwalifikowani lekarze i pracownicy nauki, toteż odejście ich stanowiło ogromną stratę dla Lublina i projekt likwidacji wydziału miał wielu zwolenników, tym bardziej, że nie wszyscy nowo pozyskani specjaliści wykazali się właściwymi kwalifikacjami. Było mi niesłychanie przykro, kiedy musiałem, już jako dziekan, rozwiązać umowy z dwoma kontraktowymi kierownikami klinik. Jeden miał wiele zalet i wcale niezłe kwalifikacje, ale cierpiał na dyspomanie i co kilka tygodni pił przez kilka dni i leżał na podłodze półprzytomny w najpodlejszych knajpach, a drugi kompromitował się nieuctwem i był pośmiewiskiem pielęgniarów i studentów.

Pozyskiwaliśmy i pozyskaliśmy na stałe także ludzi wybitnych i awansowaliśmy odważnie ludzi młodych, a zdolnych. Ludwik Fleck, były więzień Oświęcimia i Dachau, świadek w procesie lekarzy hitlerowskich przed Trybunałem Amerykańskim w Norymberdze, był mikrobiologiem znanym szeroko także poza granicami naszego kraju, a neurolog Wiktor Stein, jeden z czołowych polskich uczonych tej trudnej specjalności, pozostał w Lublinie do końca życia. Katedrę higieny po Grzegorzewskim objął dr Witold Chodźko, były pierwszy polski minister Zdrowia z lat 1918—1923, znany działacz komisji zdrowia Ligi Narodów, erudyta, człowiek wielkiej

kultury, lublinianin z pochodzenia. Na jego wniosek prowadził na wydziale farmaceutycznym wykłady zleczone tego przedmiotu przez dwa lata mój ojciec, dr Bolesław Kielanowski. Obaj ci panowie mieli już ponad siedemdziesiąt lat. Nowo kreowaną katedrę stomatologii organizował zaproszony z Łodzi uczeń słynnego profesora Antoniego Cieszyńskiego, profesor Józef Jarząb. Katedry medycyny sądowej natomiast, osieroconej po wyjeździe profesora Schilling-Siengalewicza do Poznania, nie udało się obsadzić i przez kilka lat wykładał ten przedmiot dojeżdżając z Warszawy, profesor Władysław Grzywo-Dąbrowski. Dr Tadeusz Krwawicz, który objął katedrę okulistyki zdobył sławę światową, jako twórca nowych, znakomych metod operacyjnych i zbudował w Lublinie klinikę na najwyższym, światowym poziomie, a miejscowi lekarze, internista dr Michał Voit i ftyzjatra dr Helena Mysakowska byli długo znakomitymi kierownikami katedr.

Ale wróćmy do lat czterdziestych. Po zakończeniu wojny i przeniesieniu stolicy do Warszawy, można było się starać o opróżniane przez różne władze budynki. Uniwersytet miał jednak wielu konkurentów w różnych urzędach i instytucjach, które musiały także zacząć normalnie pracować. Raabe zdołał przekonać władze, że budynek bardzo stary, ale położony w samym sercu miasta, przy placu Litewskim 3, a więc reprezentacyjny i zresztą dość pojemny, powinien mieścić raczej uniwersytet, niż na przykład Komendę Wojewódzką Milicji Obywatelskiej, bardzo się o jego przydzielenie domagającą. Uniwersytet wygrał i przez wiele lat mieściły się odtąd przy placu Litewskim rektorat, wszystkie dziekanaty, kwestura i wiele przyrodniczych zakładów naukowych. W tym samym czasie uzyskano opróżnioną przez wojsko, nie otynkowaną (stąd zwaną „czerwoną”) kamienicę naprzeciw Gimnazjum im. Staszica i duży, ale kłopotliwy obiekt zwany Jeszybot, przedwojenną siedzibę Szkoły Rabinowskiej przy ul. Lubartowskiej. Obiekt miał pomieścić liczne zakłady naukowe, w tym katedry chemii i mikrobiologii kilku wydziałów, ale kłopotliwy był dlatego, że instalacje wodne, gazowe i sanitarne istniały tylko na parterze tego kilkupiętrowego budynku. Przebudowa miała trwać długo i była kosztowna. Dzięki staraniom rektora i dziekanów uzyskał uniwersytet jeszcze kilkanaście, a może i więcej małych, rozsianych w różnych dzielnicach pomieszczeń, co umożliwiło wprawdzie pracę, ale czyniło ją trudną i dla pracowników i dla studentów. Nie ma jednak złego, co by na dobre nie wyszło, mówi stare polskie przysłowie, gdyż potrzeba budowy nowych, prawdziwych obiektów uniwersyteckich stawała się sprawą coraz pilniejszą. Raabe uzyskał od miasta kilkadziesiąt hektarów doskonale położonego terenu na przyszłą dzielnicę uniwersytecką, nazwaną wówczas, nie wiem czy fortunnie, „miasteczkiem uniwersyteckim”. Wyobrażałem sobie z początku, że pomieściłyby się tam także zakłady naukowe wydziału lekarskiego i kliniki, ale Raabe sprzeciwił się temu kategorycznie i myślę dziś, że miał chyba rację; gromadzenie w jednym punkcie miasta zbyt wielu obiektów wymagających dojeżdżania ludności (pracownicy, studenci, pacjenci) tworzyłoby niekorzystne sytuacje komunikacyjne. Miasto przyznało wkrótce przyszłym

klinikom inny, starannie wybrany i wytypowany pod wieloma względami, doskonały teren (dzielnica „Lemszczyzna”).

Cenną, oryginalną i pożyteczną inicjatywą Raabego było powołanie do życia Towarzystwa Przyjaciół UMCS, a szczególnie pozyskanie na stanowisko jego prezesa, przewodniczącego Wojewódzkiej Rady Narodowej, Ludwika Czugały. Wspominam go jako człowieka skromnego, dobrego, wrażliwego; przed wojną był nauczycielem i działaczem Komunistycznej Partii Polski. Pamiętam wydarzenie, w którym nieporozumienie stało się okazją ujawniającą wrażliwość i dobrą wolę Czugały. W trudnym momencie roku 1947, kiedy wobec wspomnianych, masowych wyjazdów profesorów do innych uczelni i katastrofalnego wręcz braku łóżek klinicznych (nie było już wojskowych szpitali ewakuacyjnych, budynki, które zajmowały, były znowu szkołami), napisałem artykuł do miejscowej gazety, w którym informowałem, że wszystkie kliniki wydziału lekarskiego posiadają łącznie 376 łóżek. Obliczyłem, że wydziałowi brak 600 łóżek by móc szkolić studentów trzech lat studiów klinicznych, chyba że zmniejszy się znacznie liczbę studentów. Po kilku dniach zatelefonował do mnie Czugała wieczorem do domu, mówiąc dosłownie: „Proszę się już nie martwić, panie dziekanie, będą łóżka. Dowiedziałem się w firmie Jaruskiewicz ile kosztuje łóżko i na zakupienie sześciuset uchwalila przed chwilą Wojewódzka Rada Narodowa odpowiednią kwotę”. (niepełny milion ówczesnych złotych). „Może je pan już jutro podjąć”. Byłem wzruszony zacnością Czugały, ale skonfundowany, bo przecież nie o to chodziło! Nie łóżka-meble były nam potrzebne, ale łóżka w pojęciu miejsc szpitalnych. Artykuł napisałem źle, niejasno dla nie-lekarzy. Dziękowałem Czugałemu, jak umiałem, Raabe pomógł nazajutrz wyjaśnić nieporozumienie, pieniądze podjąłem i przeznaczyłem na pokrycie dachem ruiny przy ul. Lubartowskiej, przeznaczonej na klinikę stomatologiczną. W roku 1951, kiedy nie było mnie już w Lublinie dowiedziałem się z prasy, że Czugałę, wizytującego teren województwa, zabili bandyci. Zabili wspaniałego człowieka, patriotę, Polaka.

We wrześniu 1946 roku wybrała mnie Rada Wydziału w tajnym głosowaniu dziekanem i ponowiła ten wybór we wrześniu 1947. Owe dwie roczne kadencje przepracowałem bardzo ciężko od wczesnych godzin rannych, do późnych nocnych. W szpitalu Jana Bożego stworzyłem w oddziale ftызjatrycznym, prowadzonym przez ordynatora dr Helenę Mysakowską, załączek kliniki chorób płuc, gdzie o ósmej rano już operowałem (tzw. zabieg Jacoboëusa), a w czasie mycia rąk do zabiegu (co trwa 20 minut!) egzaminowałem studentów z patologii ogólnej, którą wciąż jeszcze musiałem wyklądać. Około dwunastej szedłem zwykle pieszo, bo to z góry i niedaleko, albo jechałem rowerem do dziekanatu. Zdobyłem cudem skromne mieszkanie, gdzie ulokowałem ojca, siostrę i jej troje dzieci, repatriowanych ze Lwowa, a w jednym pokoju ordynowałem prywatnie, żeby wszystkich utrzymać póki sami nie zaczęli zarabiać, a także pisałem, jadłem i spałem. Mimo że przyjmowałem pacjentów z zakaźną gruźlicą, jakoś sam na gruźlicę nigdy nie zachorowałem.

Wiele razy, czasem nawet co tygodnia i jeszcze częściej, jeździłem do Warszawy, do Ministerstwa Zdrowia i Ministerstwa Oświaty. Podróż z Lublina do Warszawy trwała całą noc, wagony nie miały szyb i nie były ogrzewane, a z początku nie były oświetlone; potem była w przedziale świeca, w ładnej oprawce z szybką. Prócz tego jeździłem dwa lata co miesiąc do Gdańska żeby tam wyklądać patologię, jako że nie było stałego wykładowcy. Były to podróże..., nie warto aż opisywać jak męczące.

I uniwersytet i wydział lekarski, mimo ogromnych trudności i konieczności ciągłego improwizowania, krzepły. Z rektorem Raabe, mimo konfliktów, o których pisałem, łączyły mnie stosunki poprawne, z dziekanami innych wydziałów nie miałem nigdy żadnych konfliktów na żadne tematy. Czynnością przykrą po objęciu funkcji dziekana było porządkowanie listy studentów i skreślanie osób, które jakimś przedziwnymi sposobami znalazły się nawet na wyższych latach. Na piątym roku byli na przykład starzy felczerzy bez matur i podstawowych egzaminów z anatomii, fizjologii czy farmakologii, na trzecim roku aptekarze, także bez podstawowych egzaminów, a nawet dziennikarka, czy też osoba za dziennikarkę się podająca, nie umiejąca wykazać ani dokumentem, ani nawet świadkami, że kiedykolwiek w ogóle chodziła do szkoły średniej. Osoby te właściwie nie studiowały, ale miały legitymacje studenckie i pewne prawa i wygody, jakimś celom służące. Były krzykliwe, groziły, kiedy je skreślałem.

W tym czasie był rektor Raabe przez rok ambasadorem w Moskwie, ale dojeżdżał do Lublina i prowadził nadal ważniejsze sprawy uczelni. Po powrocie na stałe do Lublina angażował się goręcej niż dawniej w pracy partyjnej w Polskiej Partii Socjalistycznej, której działaczem był całe życie. Nam, bezpartyjnym, wydawało się, że niepotrzebnie atakuje PPR i stwarza w uczelni pewne napięcia, ale nie dziwiliśmy się, bo znaliśmy jego temperament. Raabe pracował jak dawniej od rana do wieczora, ale w każdej rozmowie na każdy temat mówił o polityce i krytykował rząd, ministrów, głównie Skrzyszewskiego, z którym, jak się nam wydawało, łączyły go dawniej dobre i bliskie stosunki.

Nie zaniebdywalśmy planów budowy „miasteczka”. Rozpisailiśmy konkurs na urbanistyczne rozwiązanie planów dzielnicy i konkurs na budowę domów akademickich, mających powstać w pierwszej kolejności.

Wszystkie wydziały skończyły w lipcu 1948 roku czwarty rok pracy, wydział lekarski wydał był już przedwojennym studentom wiele dyplomów lekarza, a równocześnie zbliżał się koniec mojej drugiej kadencji dziekańskiej. Byłem bardzo zmęczony, letniego odpoczynku „wakacji” nie miałem od 1939 roku i postanowiłem po pierwsze wypocząć solidnie w Tatrach, a w nowym roku wrócić wreszcie do pracy naukowej i do mojego właściwego zawodu, jakim była praca w klinice gruźlicy płuc.

Zostałem jednak w pierwszych dniach lipca zaproszony do Ministerstwa Zdrowia. Przyjęli mnie minister dr Tadeusz Michejda i wiceminister Jerzy Sztachelski i oświadczyli, że nie są zadowoleni z dotychczasowego rozwoju

wydziału lekarskiego uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej. Odczułem to jako krytykę mojej działalności, ale zaprzeczyli i powiedzieli, że na odwrót, oba ministerstwa, Zdrowia i Oświaty, pragną przedstawić Prezydentowi Rzeczypospolitej mogą kandydaturę na rektora, ze zleceniem zwiększenia roli wydziału lekarskiego, majoryzowanego dotąd przez inne wydziały uniwersytetu. Byłem zaskoczony i odmówiłem, przytaczając m.in. argument nieprzerwanej pracy od wielu lat, w tym służby wojskowej. Ministrowie poprosili mnie o skorzystanie z oczekującego samochodu i odwiedzenie ministra Oświaty i wiceministra Eugenii Krassowskiej, którzy mnie oczekują. Pojechałem, rozmawiałem, wróciłem do ministerstwa Zdrowia i byłem jeszcze raz na Szucha i wreszcie zgodziłem się, bo byłem pewny, że do nominacji nie dojdzie. Nie spełniłem w tym celu prośby zachowania propozycji w tajemnicy, ale zaraz po powrocie do Lublina poinformowałem o niej Raabego. Był trochę, ale jakby nie bardzo zaskoczony, choć wyraźnie przykro zaskoczony. Złożyłem mu wyrazy szacunku i lojalności i poprosiłem o pięciodniowy urlop, który wykorzystałem zgodnie z zamiarem w Zakopanem. Byłem po kilka razy na wszystkich wówczas dostępnych szczytach (nie było jeszcze konwencji turystycznej z Czechosłowacją), różnymi drogami i zapomniałem o istnieniu uniwersytetu, wydziału lekarskiego i medycyny. Pogoda była doskonała.

Kiedy wróciłem pod koniec sierpnia, nic się nie zmieniło, a mój następca, dziekan Mahrburg, pracował już pilnie. Ceniłem go zawsze wysoko jako lekarza i jako człowieka bez skazy. Czułem się wolny, patrzyłem ze spokojną radością na miasto, leczące zadane mu przez wojnę rany.

Przyszła jednak niebawem podpisana przez Bolesława Bieruta nominacja i zaczął się mój ostatni etap pracy w Uniwersytecie Marii Curie-Skłodowskiej.

Rozpocząłem od złożenia wizyty Raabemu i prośby, by mi zechciał radzić i pomagać. Nie od razu, ale po kilku tygodniach odczuł Raabe, że ...nic złego się nie stało, a uniwersytet będzie nadal kroczył drogą przez niego wytyczoną. Widywaliśmy się często, przyjaźnie, choć nie przyjacielsko. Raabe miewał coraz częściej ataki dusznicy bolesnej (angina pectoris) i leczył się w sanatoriach dolnośląskich, a w Lublinie chętnie przesiadywał w kawiarni, paląc w cygarnicze połóweczki papierosów.

Kadencję miałem trudną, mimo życzliwości i lojalności okazywanych mi przez profesorów wszystkich wydziałów. Odwiedzałem codziennie jedną lub dwie katedry czterech nie lekarskich wydziałów, poznawałem ludzi, ich trudności i potrzeby. Odnosiłem wrażenia przeważnie pozytywne, czasem bardzo pozytywne i nieraz myślę, że gdybyśmy byli wszyscy pracowali w kraju zawsze, do dziś, z takim zapałem i tak ofiarnie jak pierwsi budowniczości uniwersytetu w Lublinie, stałoby życie w naszym kraju wyżej, znacznie wyżej niż obecnie, kiedy piszę te wspomnienia.

Prorektorem mianowano niestety dziekana Wydziału Weterynarii, obywatela J. P. Nie podaję jego tytułów, bo na rozprawie karnej, która odbyła się

wiele lat później ujawniono, że nie miał nawet doktoratu, nie był nigdy partyzantem ani majorem, a Krzyż Walecznych i inne polskie i radzieckie ordery nosił bezprawnie. Pamiętam, że pytał mnie kiedyś Raabe — nie mówiąc o kogo chodzi — czy moim zdaniem można kogoś habilitować na podstawie pracy nie drukowanej, która w czasie działań wojennych zaginęła bez śladu i pozostał tylko jej tytuł. Powiedziałem, że moim zdaniem nie można. Rada Wydziału Weterynaryjnego była odmiennego zdania i J. P. uzyskał tytuł docenta a potem dalsze tytuły. Dostał niebawem nawet doktorat honoris causa jednej z czeskich szkół wyższych, ale opowiadano, że skorzystał tu z nieporozumienia, bo dzięki drobnej zmianie nazwiska, swoistemu mimikri, uchodził nieraz za znakomitego polskiego biochemika, który w rzeczywistości przebywał w obcym kraju w więzieniu.

Pomijam wszystkie wspomnienia związane z osobą prorektora J.P., poza jednym. Otóż powiedział mi kiedyś, że mu ujawnił jego przyjaciel Artur X., szef Wydziału Spraw Wewnętrznych WRN, iż studenci szykują na dzień Bożego Ciała (1949) jakąś wrogą demonstrację. Odpowiedziałem, że mi o tym nic nie wiadomo, ale że jako niewierzący i nie praktykujący wyjeżdżam na cały dzień do przyjaciół do Nałęczowa. Wyjechałem, a instynkt kazał mi skorzystać ten jedyny raz w ciągu całej administracyjnej kariery — z mojego samochodu służbowego do celów prywatnych. Kiedy wieczorem wróciłem dowiedziałem się, że były zamieszki, że na procesję najechał mały samochodzik („łazik”) z funkcjonariuszami, lecz nie studenci, ale pobożne kobiety wyrzuciły go do góry kołami. Dokładnie jednak w tym samym momencie rozpoczęły się aresztowania studentów w czapkach akademickich na ulicach różnych, nawet odległych dzielnic miasta.

Prosiłem nazajutrz w Komitecie Wojewódzkim o wyjaśnienie, ale mi tam powiedziano (przypominam, że był to okres „stalinowski”), że „władza ludowa nie myli się nigdy” i aresztowanych w liczbie 60 należy z uniwersytetu wyrzucić. Powiedziałem, że mi takie prawo bez wyroku Komisji Dyscyplinarnej dla Spraw Młodzieży nie przysługuje, a rzecznikowi muszą być przed rozprawą dostarczone materiały do sformułowania indywidualnych aktów oskarżenia. Jako że moi rozmówcy protestowali, prosiłem o zaproszenie prezesa Sądu Apelacyjnego, sędziego Mariana Mazura, o opinię. Sąd był bardzo blisko, sędzia przybył po paru minutach i poparł bez zastrzeżeń moje stanowisko, jako jedyne słuszne. Niestety nazajutrz zawiadomił mnie prorektor J. P., że Komitet życzy sobie mimo to by przeprowadzono zaocznie rozprawy dyscyplinarne. Poprosiłem rzecznika dyscyplinarnego, profesora Konrada Komiora o radę, ale oświadczył mi, że nawet zastanawiać się nie ma czasu, bo musi natychmiast, w ważnych sprawach jechać na czas dłuższy do Krakowa. Zastępca rzecznika, profesor Adam Bielecki, położył się do łóżka, ciężko chory. Wówczas prorektor J. P. znalazł rzecznika-ochotnika, profesora medycyny N. N., który oskarżał wszystkich zaocznie o „wrogi stosunek do Polski”, a Komisja skazała wszystkich sześćdziesięciu na karę usunięcia (relegowania) z uczelni. Wyroki Komisji

Dyscyplinarnej są jednak ważne dopiero po ich podpisaniu przez rektora, a ja odmówiłem podpisania. Choć mu tego nie zlecałem, podpisał wyroki prorektor, a ja pojechałem do Warszawy do ministra Sztachelskiego, prosząc o zwolnienie mnie z funkcji rektora. Był to czerwiec 1949, Sztachelski przyrzekł mi przeniesienie do innej pracy, prosząc jednak, bym zechciał poczekać kilka miesięcy. Obietnicy dotrzymał i pół roku po tym wydarzeniu pojechałem do Białegostoku, budować tam nową Akademię Medyczną.

Aresztowani studenci, Bogu ducha winni, byli stopniowo zwalniani i prawie wszyscy składali odwołania do Komisji Dyscyplinarnej, urzędującej już w normalnym składzie. Wyroki uchylano, rehabilitowani wracali do studiów. Sposobu bronięcia się uczyłem wielu z nich późnym, ciemnym wieczorem w moim prywatnym mieszkaniu.

A oto krótka kronika ważniejszych wydarzeń mojej rektorskiej kadencji.

Po objęciu funkcji rektora UMCS, złożyłem kurtuazyjną wizytę rektorowi Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, księdzu Profesorowi Słomkowskiemu. Nikogo nie pytałem w tej sprawie o radę ani o zdanie, i nikt nie zabierał głosu kiedy twierdziłem, że dwie legalnie istniejące w jednym mieście szkoły wyższe muszą w jakiś przyzwoity sposób może niekoniecznie współpracować, ale przecież współżyć. Rok potem musiałem zawiadamiać rektora Słomkowskiego, że decyzją rządu został na KUL-u skasowany wydział prawa, a kreowany w UMCS i układać wspólnie sprawę przenoszenia się tych profesorów, którzy tego zapragną, z jednego uniwersytetu na drugi. Przenieśli się wszyscy, z wyjątkiem profesora prawa karnego, dra Zdzisława Papierkowskiego. Nowy wydział UMCS-u organizował w pięknym pałacu przy pl. Litewskim, oddanym uniwersytetowi przez wojsko, profesor Aleksander Wolter z Krakowa. Uniwersytet miał odtąd sześć wydziałów i ponad osiemdziesiąt katedr.

W lutym 1949 wydelegowało mnie ministerstwo Oświaty z wizytą kurtuazyjną do Londynu, w towarzystwie profesorów Mściwoja Semerau-Siemianowskiego jako przewodniczącego delegacji, Adama Grucy, Antoniego Dobrzańskiego i Karola Jonschera. Pisałem już o tej pierwszej po wojnie, interesującej pod niejednym względem wizycie w Anglii przy innej okazji*). Tak się złożyło, że wracałem do kraju kilka dni później niż inni i w związku z tym zastałem w Lublinie nieco rozgorączkowaną atmosferę. Krążyła plotka („pewność”!), że nie wrócę, bo jestem przecież kawalerem, znam języki obce, mam dobry zawód itp. Kilku skłóconym, samozwańczym kandydatom na rektora sprawiłem zawód, wracając i biorąc się ostro do pracy.

Nie pamiętam daty, ale złożenie kamienia węgielnego pod pierwszy budynek dzielnicy uniwersyteckiej, dom akademicki, wypadło w czasie mojej kadencji rektorskiej. Przyjechali goście z Warszawy, były władze miejscowe i mnóstwo studentów. Studenci stali na brzegu głębokiego wykopu, a goście i dziekani zeszli ze mną na dno wykopu, żeby odczytać, a potem wmurować

*) „Kwartalnik Historii Nauki i Techniki” 1978 s. 583.

blaszany rulon z dokumentem erekcyjnym wśród cegieł fundamentu. Ledwo się to stało, zaalarmowano nas, że pod ciężarem stojących na górze zaczyna się wykop walić. Uciekliśmy szybko i do złowróźbnej, a może tragicznej katastrofy nie doszło. Stoją dziś, w 1982 roku nie tylko domy akademickie, ale cała, piękna dzielnica, zakłady naukowe, rektorat i dziekanat, duża i bogata Biblioteka Naukowa, pomniki itd. Wielka szkoda że Raabe tego nie doczekał, ale tak już bywa, że Mojżesz nie wchodzi do ziemi obiecanej.

Nie moją rzeczą jest ocenianie wartości mojej kadencji, ale jako rektor pracowałem dużo i sumiennie, choć w nie najlepszej atmosferze. Nie zajmowałem się nigdy w życiu polityką i nie zajmuję dziś, brak mi do tego specyficznego talentu, jestem sceptykiem, słusność każdej tezy długo i krytycznie rozważam — nie byłem więc i w latach czterdziestych politykiem. Wiedziałem tylko, że trzeba solidnie pracować, żeby zagoić wojenne rany, pracowałem więc solidnie.

Ale oto przykład jak byłem pilnowany. Biskup lubelski, ksiądz Stefan Wyszyński był chory i prosił o odwiedzenie go. Była zima lub późna jesień, pojechałem dorożką, wieczorem. Stwierdziłem tak zwane „przeziębienie”, katar, kaszel, lekką gorączkę i zaleciłem co trzeba. Pacjent zatrzymał mnie na kolacji, ale wszystko razem nie trwało wiele ponad godzinę i wróciłem do domu, także dorożką. Nazajutrz zawiadomił mnie prorektor J. P. z uśmiechem, że wie iż byłem u Wyszyńskiego i podał godziny i minuty mojego przybycia i wyjścia z pałacu biskupiego, pytając o czym to rozmawialiśmy tak długo. Odpowiedziałem, również z uśmiechem, że o chorobach, ale że paragraf kodeksu deontologii lekarskiej głosi, iż wszystko co się spostrzega przy okazji wizyty lekarskiej, także to, co się spostrzega przypadkiem i co nie dotyczy medycyny, objęte jest tajemnicą zawodową. Nie mogę więc nawet zdradzić o jakich chorobach rozmawialiśmy, poza tym, że pacjent jest tylko lekko przeziębiony. Kilka miesięcy później był biskup Wyszyński znowu przeziębiony, zorganizowałem więc badanie rentgenowskie klatki piersiowej, ale nic złego nie odkryto. Późniejszy prymas był człowiekiem zdrowym i żył długo, wolny od przewlekłych chorób.

Funkcjom rektorskim poświęcałem kilka godzin dziennie, ale prowadziłem klinikę jak poprzednio i wykladałem patologię i ftyzjatrię. Kilka, a czasem i dziesięć minut wykładu poświęcałem rozmowie ze studentami na różne tematy i często zachęcałem ich do chodzenia do teatru, który był wówczas w Lublinie doskonały, albo na koncert symfoniczny, którego program przedstawiałem im w anegdotyczny sposób. Kiedy miała być np. grana szósta symfonia Czajkowskiego opowiadałem, że jest to ostatnie dzieło mistrza, że kilka dni po prapremierze kazał on sobie podać kelnerowi szklankę wody z Newy, choć panowała cholera, wypił ją i umarł na cholere. Że wstrząsające Adagio lamentoso, kończące tę symfonię ma mało sobie równych w literaturze muzycznej, że Czajkowski był homoseksualistą i cierpiał z tego powodu itd. Studenci słuchali i chodzili na koncerty, a niektórzy chodzili potem całe życie bez potrzeby zachęcania ich.

Chodziłem na studenckie zawody sportowe i byłem dumny, kiedy „moja” akademicka drużyna hokejowa zdobyła puchar premiera Cyrankiewicza. Założyłem wreszcie jedyną w historii AZS-u akademicką sekcję bokserską i sam Feliks Sztam przyjechał, by ją trochę potrenować. Po moim wyjeździe z Lublina, sekcja przestała istnieć. Brałem wreszcie osobiście udział w turnieju ping-ponga o mistrzostwo uniwersytetu i nie zauważyłem by moje koleżeńskie kontakty z młodzieżą obniżały należny mi autorytet. Nie wszyscy to jednak rozumieli.

Jakoś szczęśliwie obeszło się za mojej kadencji bez konfliktów między władzami akademickimi a młodzieżą i bez starć między pracownikami. Od dnia 1 stycznia 1950 roku zostały wydziały lekarskie i farmaceutyczne wyłonione z uniwersytetów, a Sztachelski dotrzymał obietnicy i zaproponował mi budowanie nowej uczelni, Akademii Medycznej w Białymstoku. Po moim wyjeździe z Lublina pełnił funkcje rektora prorektor J. P., ale tylko zastępczo do końca kadencji; mimo starań i oczekiwań, nie został nigdy rektorem. Trzecim rektorem UMCS, po Raabem i po mnie, został profesor Wydziału Rolnego, dr Bohdan Dobrzański.

Tak jak w roku 1944 nie wierzono w możliwość tworzenia uniwersytetu w małym Lublinie, tak w roku 1950 było mnóstwo ludzi, wykpiwających głośno niewczesne i nierealne mrzonki, chcące czynić z małych miasteczek ośrodki akademickie. Przykłady Heidelbergów, nie czyniły wrażenia. A jednak właśnie marzyciele i entuzjaści zwyciężyli. Lublin ma dziś prawdziwy uniwersytet, liczący się w kraju i na świecie, bogato rozbudowany, a Białystok ma jedną z piękniejszych uczelni medycznych w kraju i wyszkolił już kilka tysięcy lekarzy, którzy zmienili w sposób istotny stan sanitarny polskich ziem północno-wschodnich i zajmują także wysokie stanowiska w całym kraju.

Białystok jest dziełem lubelskich pracowników nauki, bo udało mi się stworzyć ekipę, która pojechała ze mną. Był w niej antropolog i lekarz Tadeusz Dzierżykray-Rogalski, dziś znany uczony afrykanista, była młoda absolwentka medycyny Biruta Fąfrowicz, dziś profesor ftyzjatrii w Lublinie i był znakomity biolog profesor Witold Sławiński, któremu towarzyszył młody mgr botaniki Tadeusz Baszyński. Baszyński wrócił po paru latach do Lublina, habilitował się i jest dziś profesorem i rektorem Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej, następcą Raabego, i moim, oraz wielu innych budowniczych tej uczelni, powstałej w czasie wojny, na zapleczu frontu.

W moich powyższych wspomnieniach brak wielu nazwisk profesorów innych wydziałów, poza lekarskim i nazwisk pracowników administracyjnych, których ceniłem. Wiele zawdzięcza uniwersytet sekretarzowi naukowemu uczelni, magistrowi, potem drowi Tadeuszowi Dowjatowi, a kolejni rektorzy znakomitemu sekretarzowi biura rektoratu, magistrowi prawa, Antoniemu Kopciowi. Wydział lekarski miał szczęście korzystania z pracy dwóch sekretarek, pani mgr Lucyny Tarłowskiej i Marii Gisges, które pracowały zawsze tyle godzin i nadgodzin, ile było trzeba, a znakomity kierowca pan

Mandryk miał przykrości, bo odmówił informowania o treści rozmów, prowadzonych w czasie jazdy przez rektora i profesorów. Mówiłem mu, żeby informował, bo nikt nie miał przecież wrogich uczuć, toteż wrogich idei nie głosił.

Spisałem wspomnienia sprzed blisko czterdziestu lat z pamięci, sprawdzając tylko poprawne brzemienie kilku imion i nazwisk w cennym dziele z 1968 roku pt. *Powstanie i organizacja Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w świetle źródeł*. Nie miałem ani możliwości, ani ambicji pisania historii uniwersytetu i wszystkich jego wydziałów, ani też epoki, w której powstawał. Chcę mieć jednak nadzieję, że pisząc o tym co sam widziałem i przeżywałem, pomogę autorowi, który opracuje i wyda z okazji bliskiego już czterdziestolecia powstania uniwersytetu, jego prawdziwą historię, na tle historii lat czterdziestych w Lublinie.

Recenzent: Tadeusz Dzierżykray-Rogalski

T. Келановски

ВОСПОМИНАНИЯ О ПЕРВЫХ ГОДАХ СТРОИТЕЛЬСТВА УНИВЕРСИТЕТА ИМЕНИ МАРИИ КЮРИ-СКЛОДОВСКОЙ

Автор прибыл в Люблин в октябре 1944 г. в качестве военного врача. В то время в Люблине пребывало правительство страны ведущей войну. Несмотря на близкое положение линии фронта в Люблине развивалась культурная жизнь, а кроме других проектов принято решение о создании медицинского факультета, а кроме этого факультетов биологического, ветеринарного и сельскохозяйственного.

Автор описывает своё участие в организации и дальнейшей работе училища, названного Университетом имени Марии Кюри-Скłodовской. Речь идёт о препятствиях связанных с нехваткой современных больниц и зданий, которые могла бы поместить лаборатории и лекционные залы. Атмосфера энтузиазма, которая овладела Люблином на несколько дней до победы позволила преодолеть все препятствия. Училище начало существовать и в дальнейшем отлично называться.

Профессор Тадеуш Келановски в период 1944—1950 был деканом Медицинского факультета и заместителем ректора, наследником ректора Раабэ. В своих воспоминаниях описывает многие лица, которые помогали в создании университета. В частности описывает первого ректора Генрика Раабэ, которого инициатива, интеллигентия и характер были главными факторами способствующими созданию университета во время войны.

T. Kielanowski

DEBUTS ET PREMIÈRES ANNÉES DE TRAVAIL DE L'UNIVERSITÉ MARIE CURIE- SKŁODOWSKA À LUBLIN. SOUVENIRS D'UN DES ORGANISATEURS

L'auteur s'est trouvé à Lublin au mois d'octobre 1944, en qualité de médecin militaire. Lublin était à l'époque siège de tous les pouvoirs publics du pays en guerre. Malgré la proximité du front, la vie y était très animée et parmi d'autres projets, on décida d'y créer

une université, avec faculté de médecine, de pharmacie, des sciences naturelles et des sciences agricoles.

Ayant participé aux travaux de la création et aux débuts de travail de l'université, baptisée Université Marie Curie-Skłodowska, l'auteur raconte ses convenirs. Il décrit les difficultés qui se sont présentées du fait du manque d'hôpitaux modernes et d'édifices qui auraient pu loger des laboratoires et des amphithéâtres. Il présente l'atmosphère d'enthousiasme qui reignait en Pologne à l'époque de la veille de la victoire, et grâce à laquelle on a réussi à surmonter tous ces obstacles et assurer à l'université une existence réelle et une très belle évolution future.

L'auteur du récit a été, entre 1944 et 1950, doyen de la Faculté de Médecine et recteur de ladite université, successeur de Henryk Raabe. Il trace de nombreux portraits de personnes, ayant contribué au succès et présente surtout la personne du premier recteur, Henryk Raabe, dont l'initiative, l'intelligence et le caractère ont été l'élément essentiel de la réalisation d'une université en pleine guerre.



Ryc. 1. Autor i pierwszy rektor Prof. dr Henryk Raabe



Ryc. 2. Profesorowie i odwołani z frontu studenci wyższych lat w roku akademickim 1944/45. Siedzą w pierwszym rzędzie od lewej, profesorowie i docenci: Antoni Falkiewicz, Jakub Węgierko, Ignacy Abramowicz, Ludwik Hirszfild, płk. Dołgopiatow, Hanna Hirszfildowa, Sergiusz Schilling Siengalewicz, Tadeusz Kielanowski, Zdzisław Skibiński, Aleksander Wośkowski, Aleksander Goldschmied, Czesław Ryll-Nardzewski



Ryc. 3. W czasie ćwiczeń w roku 1945. Stoją od lewej: student Tadeusz Pniewski, autor i asystent dr Zdobysław Baranowicz



Ryc. 4. Autor w gronie studentów, wiosną 1945



Ryc. 5. Uroczystość pięciolecia Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej. Przemawia minister Oświaty dr Stanisław Skrzyszewski. Siedzą: rektor Tadeusz Kielanowski i prorektor J. P. (październik 1949)

